

## *Hans Christian Andersen*

# Dzień Sądu Ostatecznego

Najświętszym dniem ze wszystkich dni w życiu jest dzień naszej śmierci, jest to dzień sądny, wielki dzień przemiany. Czy myślałeś już kiedyś poważnie o tej potężnej, mądrej, ostatniej godzinie na ziemi?

Był sobie raz człowiek bardzo wierzący, jak mówiono, bojownik o słowo, które mu było prawem, gorliwy sługa surowego Boga. Nad łóżkiem jego stała Śmierć o surowym i nie biańskim obliczu.

— Nadeszła godzina, musisz iść ze mną! — powiedziała Śmierć i dotknęła lodowatymi palcami jego nóg, tak, że zdrętwiały. Śmierć dotknęła jego czoła, potem serca, które pękło. I dusza poszła za Aniołem Śmierci.

Ale w ciągu tych niewielu sekund, które minęły pomiędzy dotknięciem jego nóg, czoła i serca, spłynęło na umierającego, jak fala morza, wszystko to, co mu życie przyniosło i co w nim wzbudziło. Jednym spojrzeniem ogarnia się wówczas zawrotne głębie, jedną błyskawicą myśli przebiega się niezmierną drogę. Jednym spojrzeniem zbiera się sumę niezliczonych gwiazd na niebie, poznaje się kulę ziemską i planety w nieogarnionym wszechświecie.

W takiej chwili drży lękliwy grzesznik, nie ma podpory dla siebie i jest mu tak, jakby zapadał się w nieskończoną pustkę. Pobożny wznosi swą głowę ku Bogu i oddaje mu się jak dziecko w słowach: „Niech się dzieje wola Twoja!”

Ale ten konający nie miał nic z dziecka, czuł, że jest mężczyzną. Nie drżał jak grzesznik, gdyż wiedział, że był na- prawdę wierzącym. Trzymał się z całą surowością przepisów religii. Wiedział, że miliony muszą kroczyć szeroką drogą ku potępieniu. Mógłby niszczyć ich ciała ogniem i mieczem, aby były tak samo zniszczone jak ich dusze. Jego droga wiodła

teraz do nieba, gdzie łaska otwierała mu furtkę —  
obiecana łaska.

Dusza poszła więc z aniołem śmierci, ale raz  
jeszcze spojrzała na łożo, gdzie spowity w białe  
prześcieradło leżał obraz z prochu, obce odbicie jego  
Ja. A potem polecieli.

Lecieli i szli. Znaleźli się jakby w olbrzymiej sali, a  
jednocześnie niby w lesie. Przyroda była ostrzyżona,  
uporządkowana, powiększona i uszeregowana w  
zaplanowany sposób. Panowała tu sztuka jak w  
staroświeckich francuskich ogrodach — była to  
maskarada.

— To jest życie ludzkie — powiedział Anioł  
Śmierci.

Wszystkie postacie były mniej lub więcej  
zamaskowane. Nie wszyscy przybrani w aksamit i  
złoto byli najpotężniejsi; nie wszyscy, którzy nosili  
szaty ubóstwa, byli najniżsi i najmniej ważni. Była to  
przedziwna maskarada, a najdziwniejsze było, że  
każdy ukrywał coś w fałdach sukni. Ale jeden  
drugiemu zaglądał w fałdy i wtedy widać było  
wyłaniające się spomiędzy nich zwierzęce łby. Jeden  
miał głowę wykrzywionej małpy, inny obrzydliwego  
kozła, śliskiego węża lub śniętej ryby.

Były to zwierzęta, które my wszyscy nosimy w  
sobie. Zwierzęta zrosnięte z nami; skakały i chciały  
się wydostać. Każdy przytrzymał mocno zwierzę  
pod ubraniem, ale byli tacy, co darli suknie na innych  
i krzyczeli:

— Patrzcie, patrzcie, tak wygląda on, tak wygląda  
ona! — i jeden obnażał nędzę drugiego.

— A jakie zwierzę było we mnie? — spytała  
wędrująca dusza. Anioł Śmierci wskazał mu dumną  
postać, która miała naokoło głowy różnobarwną  
aureolę połyskującą jaskrawymi kolorami, ale w  
sercu tego człowieka ukryte były nogi zwierzęcia,  
nogi ptaka. Aureola nad jego głową była barwnym  
ogonem pawia.

A kiedy powędrowali dalej, wielkie ptaki krzyczały  
szkaradnie z gałęzi drzew, krzyczały wyraźnymi

ludzkimi głosami:

— Czy pamiętasz mnie, ty wędrowniku śmierci? —  
były to wszystkie złe myśli i pożądania jego życia,  
które do niego wołały: — Czy pamiętasz mnie?

I przez chwilę dreszcz przeniknął duszę, bo dusza  
znała te głosy i złe myśli i pożądania, które wystąpiły  
teraz jako świadkowie.

— W naszym ciele, w naszych złych skłonnościach  
nie ma nic dobrego — powiedział zmarły — ale moje  
myśli nie prze- mieniły się w czyny, świat nie oglądał  
złych planów — I pośpieszył jeszcze szybciej, aby  
oddalić się od wstrętnych okrzyków. Ale wielkie,  
czarne ptaki otoczyły go i krzyczały tak, jak gdyby  
cały świat miał się o tym dowiedzieć. A on pobiegł  
jak łania i przy każdym kroku uderzał się nogą o  
ostre kamienie, raniły mu one stopy i bolało go to  
bardzo.

— Skąd się wzięły te ostre kamienie? Leżą tu jak  
zwiędłe liście na ziemi!

— To są te wszystkie nierozważne słowa, które  
rzucasz i które raniły serca o wiele bardziej, niż te  
kamienie ranią twoje nogi!

— Nie myślałam o tym — powiedziała dusza.

— Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni —  
rozbrzmiało w powietrzu.

— Wszyscyśmy grzeszyli — powiedziała dusza i  
podniosła się znowu.

— Trzymałam się zasad Ewangelii i prawa,  
robiłam, co mogłam. Nie jestem taka, jak inni!

I oto stali przed bramą niebieską i Anioł  
Odźwierny zapytał:

— Kim jesteś? Powiedz mi, jakiej jesteś wiary i  
jakich do- konałeś czynów?

— Wypełniałam surowo wszystkie przykazania.  
Byłam pokorna przed oczami świata. Nienawidziłam  
zła i złych, prześladowałam wszystkich, którzy  
kroczyli szeroką drogą ku wiecznemu potępieniu. I  
jeszcze teraz, jeżeli zaszłaby potrzeba, pragnę  
walczyć ogniem i mieczem!

— Jesteś więc jednym z wyznawców Mahometa?

— spytał anioł.

— Ja? Nie, nigdy!

— „Kto wojuje mieczem, ten od miecza ginie”,  
powiedział Syn Boży. Nie wyznajesz jego wiary.  
Może jesteś synem Izraela, który mówi za  
Mojżeszem:

„Oka za oko, ząb za ząb”? Synem Izraela, którego  
groźny Bóg jest jedynym Bogiem tego narodu.

— Jestem chrześcijaninem!

— Nie poznaję tego po twojej wierze i po twoich  
czynach. Nauka Chrystusa jest pojednaniem, miłością  
i łaską!

— Łaską! — rozbrzmiało po nieskończeniu wielkiej  
przestrzeni i otworzyła się brama niebios, i dusza  
poszybowała ku szczęśliwości. Ale światło, które  
promieniowało stamtąd, było tak oślepiające i  
przenikliwe, że dusza cofnęła się, jak przed  
wyciągniętym mieczem. Rozbrzmiały tony tak  
łagodne, tak chwytające za serce, że żaden ziemski  
język nie może tego wyrazić. Dusza zadrżała i  
pochyliła się nisko, coraz niżej, ale wówczas  
niebiańska jasność wtargnęła w nią i poczuła to,  
czego nigdy przedtem nie czuła — ciężar swej dumy,  
swej zatwardziałości i grzechu.

— To, co robiłam dobrego w życiu, robiłam  
dlatego, że inaczej nie mogłam, ale zło było we mnie!

Dusza czuła się oślepiona czystym, niebiańskim  
światłem. Upadała bezsilna. Wydawało jej się, że  
zwinęła się w kłębek, niedojrzała dla niebieskich  
bogactw, nie śmiała zwrócić swych myśli do  
sprawiedliwego Boga jękając:

— Łaski!

I oto zjawiała się łaska, nieoczekiwana łaska.

Bóg niebios był w całej nieskończeniu wielkiej  
przestrzeni, miłość Boga przeniknęła ją w  
niewyczerpanej pełni.

— Duszo ludzka, bądź święta, cudna, pełna miłości  
i wieczna! — brzmiały i śpiewały głosy niewidzialne  
dookoła.

My wszyscy będziemy w ostatnim dniu naszego

ziemskiego życia drżeli tak, jak ta dusza przed blaskiem i cudownością Nieba. Będziemy głęboko upokorzeni, pokornie zginali się a mimo to będzie nas unosiła jego miłość, jego łaska będzie nas wyprostowywała. Wzniesieni na nowe tory, oczyszczeni, szlachetniejsi, lepsi, będziemy się zbliżali coraz bardziej do cudowności światła i pokrzepieni przez nie, wzniesiemy się do wiecznej jasności.